

MAREK GEDL

Urywki wspomnień z lat pięćdziesiątych i późniejszych XX wieku

W 1951 roku uzyskałem maturę w gimnazjum im. Jana III Sobieskiego i w jesieni tegoż roku zamierzałem rozpocząć studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od początku zamierzałem studiować na kierunku historycznym, co wynikało z moich zainteresowań między innymi dawną architekturą militaris. Wyrazem tych zainteresowań były podejmowane od wojny wycieczki do podkrakowskich zamków i grodzisk, połączone z robieniem szkicowych planów fortyfikacji i dokumentacji fotograficznej zachowanych ruin. Zainteresowałem się też zagadnieniami pogranicza małopolsko-śląskiego. Wycieczki harcerskie, jak też pobyt na obozach w Ojcowie (1945) i Węgierskiej Górze (1946) znacznie rozwinęły u mnie upodobanie do podejmowania pieszych wycieczek i bezpośredniego kontaktu z zachowanymi reliktnymi umocnieniami, także fortyfikacji nowożytnych. Udział w harcerskim obozie wędrownym na Śląsk i do Czech w roku 1948 nasilił me zainteresowanie Śląskiem i Wrocławiem, które to miasto wyraźnie mnie w tym czasie zauroczyło. Dla lepszego zrozumienia spraw śląskich przygotowywałem dla siebie historię rozdrobnienia dzielnicowego na Śląsku i tabelę genealogiczną Piastów śląskich. Poinstruowany przez profesora gimnazjalnego dra (?) Perdenię, chodziłem do biblioteki Instytutu Historii, na drugim piętrze w Collegium Novum, gdzie przyjmowano mnie z życzliwością i udzielało wskazówek, ułatwiających dotarcie do przydatnej dla mnie literatury.

Moje wyraźne inklinacje do wędrówek i badań terenowych wpłynęły na to, że nie pociągała mnie historia oparta głównie na źródłach pisanych. Do studiowania historii architektury brakowało mi zdolności rysunkowych. Skierowało to moją uwagę ku archeologii, bardziej osadzonej aktywnością badawczą w terenie. Okazało się, że archeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim studiować nie można, ale wchodzi ona w skład nowego kierunku, nazwanego historią kultury materialnej. Zdecydowałem się na ten właśnie kierunek złożyć papiery.

Przyszedł czas egzaminu wstępnego, do którego specjalnie się nie przygotowywałem, nie wiedząc zupełnie, o co mogę być pytany. Liczyłem na zasób wiadomości z historii i geografii, którymi dysponowałem. Wielką niewiadomą były ewentualne pytania z zakresu tzw. nauki o Polsce i świecie współczesnym, czyli dotyczące swoiście pojmowanej wówczas historii najnowszej i aktualnej sytuacji politycznej. Tematyki tej się nie bałem, miałem bowiem pozytywnie ukończony kurs „Wszechnicy Radiowej” i „Wieczorową Szkołę Polityczną”, do której byłem skierowany jeszcze przed wyrzuceniem z gimnazjum, na rok przed maturą.

Egzaminu dobrze nie pamiętam, jak też jego przebiegu. Nie wiem, czy był on pisemny, czy tylko ustny, który bardziej mi się zapisał w pamięci. Pamiętam duży stół, za którym siedziała liczna komisja egzaminacyjna. Z osób siedzących w komisji potrafię dziś przypomnieć sobie dwie panie: dr Marię Trzepacz i prof. Celinę Bobińską. Być może siedział tam jeszcze prof. Stanisław Gąsiorowski, ale tego pewny nie jestem. Zdający egzamin podchodzili kolejno do stołu. Pytań, jakie mi stawiano, nie pamiętam, ani też moich odpowiedzi. Egzamin stopniowo przekształcił się w luźniejszą rozmowę, w czasie której egzaminatorki zapytały mnie o powody, dla których wybrałem archeologię. Opowiedziałem o moich zainteresowaniach zamkami i jaskiniami, zwłaszcza w Jurze. Wspomniałem coś o zamku w Barwałdzie koło Kalwarii i o Lanckoronie. Komisja wydawała się zainteresowana moją opowieścią.

Po latach pani dr Maria Cabalska (Trzepaczówna) powiedziała mi, że po egzaminie, gdy przyszło do omawiania kandydatów i ich odpowiedzi, tak zwany „czynnik społeczny” domagał się, aby mnie nie przyjęto. Pani Cabalska twierdziła, że mnie broniła. Chyba poparła ją też pani Bobińska, co było istotne, bo miała ona duże znaczenie w partii. W rezultacie egzamin zdałem i zostałem przyjęty. Natomiast nie przyjęto wówczas na studia Kazimierza Godłowskiego, który przybył do Krakowa z Wilna, a jego ojciec, przedwojenny profesor na Uniwersytecie w Wilnie, zginął w Katyniu. Nie przyjęto też Danki Rzeszowskiej, która była zaangażowana w ruchu harcerskim w Łodzi. Obydwoje dostali się na studia nieco później, z odwołania. Moimi minusami mogły być: śmierć ojca w powstaniu warszawskim, wyrzucenie mnie z gimnazjum na rok przed maturą (sprawy polityczne) i obciążenie przynależnością do harcerstwa w latach 1945–1949.

Po ogłoszeniu, że zostałem przyjęty, zaczęło się dla mnie załatwianie różnych formalności w Collegium Novum, gdzie mieścił się nasz dziekanat, kwestura i inne urzędowe instytucje, do których trzeba było odstać swoje w tasiecowych ogonkach. Pierwszym z kolegów, którego poznałem w „ogonku” do dziekanatu, był Stanisław Kowalski, który wtedy bardziej skłaniał się ku etnografii. Potem, stopniowo, zaczęły się wykłady i inne zajęcia. Odbýwały się w różnych lokalach, a obecność zarówno na nich, jak i na wykładach była obowiązkowa. Przyznać trzeba, że nie wszyscy wykładowcy sprawdzali obecność.

Historia kultury materialnej (w skrócie HKM) był to taki dziwny kierunek, w skład którego wchodziły: archeologia prehistoryczna (wykładana przy ulicy św. Jana, w budynku Polskiej Akademii Umiejętności), archeologia klasyczna (wykładana przy ul. Gołębiej 14) i etnografia (przy ul. Gołębiej 20 lub ul. Straszewskiego). Dochodziły do tego wykłady z historii i numizmatyki, zajęcia z marksizmu i ekonomii politycznej oraz najważniejsze z wszystkiego: studium wojskowe. Niektóre z tych zajęć były wspólne dla studentów z całego Wydziału Historycznego. Mieliśmy jeszcze obowiązkowy dla wszystkich lektorat z języka rosyjskiego i drugi lektorat do wyboru.

Zajęcia te były bardzo różne i bardzo rozmaicie prowadzone. Ja od początku wybrałem specjalizację w dziedzinie archeologii prehistorycznej, która zwała się „Historią kultury materialnej najdawniejszych społeczeństw pierwotnych”. Wykłady te oraz „Wstęp do archeologii” prowadził prof. Rudolf Jamka w lokalu przy ul. św. Jana. Ćwiczenia do tych zajęć prowadziła dr Maria Trzepaczówna. Lokal Katedry (lub Zakładu) Archeologii Prehistorycznej mieścił się na parterze budynku należącego do Polskiej Akademii Umiejętności, z wejściem prosto z bramy. Okna i drzwi wejściowe zamykane były żelaznymi

okiennicami lub drzwiami. Lokal składał się z dwóch pomieszczeń: dużej, mrocznej sali wykładowej, przejściowej i mniejszego pomieszczenia za nią, z biurkami pracowników oraz biblioteką. W sali wykładowej rozstawione były duże masywne stoły, krzesła dla słuchaczy i fotele dla wykładowców. Stały tam jeszcze czarne szafy i wielka, czarna, oszklona gabłota muzealna, z dużą liczbą garnków, głównie z cmentarzyska w Sokolnikach (jeszcze z badań prowadzonych przez Leona Kozłowskiego). Salę ogrzewał wielki piec kaflowy, w którym rano rozpalała pani Bartnikowa, żona dozorczy domu, sprzątająca w Katedrze. Ogień w piecu podtrzymywał woźny Katedry pan Mieczysław Maciejczak. Niekiedy piec odmawiał posłuszeństwa i dymił złośliwie, co powodowało zakłócenia w porządku zajęć. W sali wykładowej, przy stołach mieściło się około 40 słuchaczy. W zajęciach przeszkadzali przechodzący do drugiego pomieszczenia interesanci, spóźnieni studenci, a czasem też wkraczający bezpośrednio z bramy domokrażcy, handlarze lub żebracy.

W drugim pomieszczeniu stała wielka, czarna, oszklona szafa biblioteczna, także, też czarne, zamknięte szafy z książkami oraz biurka pracowników, zwłaszcza pani dr Trzepaczówny. Przy oknie kulił się, pojękując, pan Maciejczak, któremu dokuczał reumatyzm, jakiego się nabawił w czasie wojny w obozie jenieckim. Z pomieszczenia tego, także ogrzewanego za pomocą wielkiego pieca, wydzielone zostało – odgródzone szafami – mniejsze pomieszczenie, będące swego rodzaju gabinetem prof. Jamki. Stało w nim biurko Profesora z fotelem i krzesłem dla ewentualnego petenta. Najważniejszym meblem w tym pomieszczeniu bez okna był wielki tapczan profesora, mocno zużyty i zdezelowany. Na owym tapczanie Profesor odbywał ulubione drzemki. Pomieszczenie służyło niekiedy jako pokój gościnny dla gości Profesora lub Katedry. Tapczan wykorzystywany był też przez studentów do celów erotycznych i swawolnych, zwłaszcza podczas zabaw studenckich, odbywających się niekiedy w sali wykładowej, lub podczas innych podobnych imprez. Nie wychodziło to tapczanowi na zdrowie i pogłębiało stan zdezelowania. Czasem pozostawione po imprezach ślady budziły gniew Profesora, który jednak nie zdecydował się na usunięcie owego mebla lub na kategoryczny zakaz używania pomieszczenia przez osoby postronne. Na ogół łagodnie nie zauważał kompromitujących śladów i żadnej sprawy nie było. Sprzątająca pani Bartnikowa, opłacana przez użytkowników tapczanu, robiła porządek i nie donosiła o zaistniałych wydarzeniach. Ubikacje Katedry znajdowały się w innym skrzydle budynku, dostępnym poprzez bramę, w zimie – przeraźliwie zimnym i niemiłym. Brama była świadkiem porachunków między studentami, nieraz wywołanych lub sprowokowanych przez wydarzenia, jakie zachodziły w profesorskim zakamarku, zwłaszcza podczas zabaw studenckich. Niekiedy interweniował miotłą pan Bartnik – dozorca budynku. Echa tych wydarzeń do Profesora chyba nie docierały.

Wykłady prof. Jamki, prowadzone dosyć monotonnym głosem, były czasem ubarwiane anegdotami czy historyjkami, zabawnymi dla opowiadającego. Wykłady ilustrował, pokazując bliżej siedzącym słuchaczom ryciny z przygotowanych książek. Prychał też i parskał śmiechem ze swych dowcipów, opluwając bliżej siedzących (a był prątkującym gruzlikiem). Wykłady prof. Jamki, choć dość nudne, były bardzo dobrze i sumiennie przygotowane pod względem merytorycznym. Wprowadzał nas w zagadnienia europejskie, o których w ogóle nikt nie uczył w innych ośrodkach, gdzie ograniczano się do pradziejów Polski lub wałkowano Prasłowian. Na wykładach prof. Jamki usłyszałem po raz

pierwszy o wczesnobrązowej kulturze Wieselburg-Gata, zwanej też kulturą moszońską. Była to wiedza dziedziczona po starej szkole wiedeńskiej i przedkossinowskiej nauce niemieckiej. Jamka wyrażał się nader sceptycznie na temat etnizowania w prehistorii. Przywiązywał natomiast wielką wagę do ustaleń chronologicznych, zwracał uwagę na warsztat i metody zmierzające do ustaleń chronologicznych. Miał może nawet bzika na punkcie zapinek z okresu rzymskiego, zwłaszcza zapinek oczkowatych. Bardzo chwalił ustalenia Almgrena w odniesieniu do zapinek.

Dr Maria Trzepacz swe wykłady prowadziła w sposób bardziej ożywiony i interesujący, nieraz płacząc się jednak w toku swej wypowiedzi i gubiąc sens. Ilustracje do jej wykładów wyświetlała epidiaskopem z przygotowanych książek pan Maciejczak. Niekiedy, mając na pieńku z panią doktor, celowo mylił wyświetlane obrazki lub uciekał z obrazem na sufit, co powodowało wybuchy złości z jej strony. Wykłady pani dr Trzepaczówny, mimo bałaganiarstwa, były dobre, zwracała uwagę na problemy dyskusyjne. Wygłaszała poglądy odmienne od autochtonistycznych wywodów Józefa Kostrzewskiego.

W katedrze początkowo pracowała jeszcze pani Helena Burhardówna, która prowadziła bibliotekę, a potem odeszła do Muzeum albo do nowo powstałej Akademii Nauk. Zatrudniony był tu też dr Stanisław Buratyński, silnie zaangażowany w ratownicze badania wykopaliskowe w Nowej Hucie. Nie miał dobrej szkoły archeologicznej. Był typem entuzjasty, bezkrytycznie powtarzał ustalenia i poglądy Józefa Kostrzewskiego oraz Konrada Jażdżewskiego. Z upodobaniem mówił o swej ofiarnej pracy przy ratowaniu obiektów zabytkowych przed koparkami. Przez studentów zwany był „Wodolejem”.

Muzealnictwa archeologicznego uczył doc. dr Tadeusz Reyman, dyrektor Muzeum Archeologicznego, wykładowca raczej słaby, ale bardzo dobry fachowiec, zaangażowany w muzealnictwo, zwłaszcza w organizację zbiorów, archiwum i w konserwację zabytków. Miał on przedwojenne kontakty z muzeami niemieckimi i potrafił je wykorzystać praktycznie. W konserwacji zabytków towarzyszyła mu jego żona, pani Olga Reymanowa, która znakomicie prowadziła pracownię konserwacyjną w Muzeum Archeologicznym.

Zajęcia z archeologii klasycznej, określane jako: „Historia kultury materialnej starożytnego wschodu”, na I roku odbywały się w ciasnym pomieszczeniu na pierwszym piętrze budynku przy ul. Gołębiej 14. Na parterze tego budynku lub w domu sąsiednim znajdowała się kuchnia jakiejś restauracji czy stołówki. Część przygotowań kuchennych odbywała się na podwórku, gdzie paradowały dobrze odżywione szczury, na które spoglądaliśmy z drewnianego ganku wiodącego do toalet.

Wykłady prowadził prof. Stanisław Gąsiorowski, starszy pan, przygarbiony, mizernej postury, bardzo wytworny. Mówił monotonna, cichym głosem, w pokoju ciemnym i ciepłym. Ilustracje do wykładów wyświetlał epidiaskopem woźny katedry pan Kazimierz Figiel. Atmosfera w sali wykładowej, zwłaszcza zimą, usypiała. Niektórzy ze słuchaczy wykorzystywali przy tym ciasnotę, ciemność i ciepło do podejmowania cichych rozmów, a także drobnych pieszczot z koleżankami. Cichy tok wykładu profesora nie przeszkadzał dosyć niewinnym zbliżeniom, a profesor albo niczego nie widział, albo udawał, że nie widzi. Prof. Gąsiorowski był typem uczonego starej daty, o bardzo dużej wiedzy i znacznej kulturze osobistej, o czym mogłem się przekonać w trakcie egzaminu (5 III 1952 r.).

Wykłady z etnografii, a raczej z etnologii, miewał czasem prof. Dobrowolski, zwany „Tuptusiem”; odbywały się one przy ul. Straszewskiego. Były nudne i mało z nich pa-

mięta. Znakomitym wykładowcą był natomiast prof. Kazimierz Moszyński, doskonały, błyskotliwy mówca o ogromnej wiedzy, śmiało wypowiadający swe sądy krytyczne, między innymi na temat lansowanych podówczas zasad materializmu historycznego, stosowanych do nauk historycznych i społecznych, a zbudowanych na podstawie praw materializmu dialektycznego. Wypowiedzi te świadczyły o znacznej odwadze osobistej profesora. Inni nasi poważni wykładowcy też prezentowali na ogół stosunek krytyczny i niechętny do lansowanego marksizmu, ale robili to bardziej kameralnie i po cichu. Jeden prof. Moszyński nie bał się wyrażać tego głośno i dobitnie. Wyrażał się też negatywnie na temat głoszonych przez niektórych archeologów i językoznawców opinii na temat dawnych siedzib Prasłowian. Śmiało głoszone i logicznie uzasadniane poglądy prof. Moszyńskiego pomogły zachować zdrowy rozsądek studentom z ośrodka krakowskiego, co było widoczne w czasie odbywanych praktyk i spotkań studentów z różnych ośrodków.

Udział w zajęciach był obowiązkowy, a owe zajęcia – różnej rangi, bardzo zróżnicowane tematycznie – prowadzono w rozmaitych salach, rozproszonych w śródmieściu Krakowa. Rozplanowane były od rana do późnego popołudnia lub nawet do wieczora. Znalazły się wśród nich zajęcia, zwłaszcza ćwiczenia, przeznaczone dla małej grupy osób, jednej specjalności, lub tylko dla wydzielonej grupy ćwiczeniowej. Prowadzono je w lokalach poszczególnych katedr, na ogół w miłej i spokojnej atmosferze. Stanowiły one na ogół uzupełnienie wykładu kursowego z danej specjalności. Były też wykłady molochy, przewidziane dla całego kierunku czy nawet całego wydziału. Odbywały się w wielkich salach wypełnionych ławkami. Były to zwłaszcza wykłady „podstaw marksizmu i leninizmu”, prowadzone przez mgr. prof. Morawskiego. Wykładowca ten zachowywał się w czasie wykładu niegrzecznie i arogancko, gmerając rękami w kieszeniach spodni. Wykład ten był uzupełniany ćwiczeniami prowadzonymi przez młodszych asystentów (m.in. niejakiego Kurza), podobnie jak wykładowca na ogół niegrzecznych, którzy na ćwiczeniach egzekwowali znajomość zadanej uprzednio literatury: wybranych dzieł Engelsa, Lenina, a później także Stalina. Asystenci próbowali uczestników ćwiczeń wciągać do dyskusji nad różnymi problemami zarysowanymi przez klasyków. Na ogół dyskusja się nie udawała. Była to sytuacja niebezpieczna, a szczerza wypowiedź studenta mogła spowodować poważne kłopoty na nieostrożnego dyskutanta. Zbliżony charakter miały wykłady i ćwiczenia z przedmiotu nazwanego „materializm dialektyczny i historyczny”, wykładanego przez mgr. prof. M. Waldenberga, oraz z ekonomii politycznej, wykładanej przez prof. Kłapkowskiego, a potem przez prof. (?) Łukawera. Zwłaszcza egzamin końcowy u Łukawera był bardzo nieprzyjemny. Egzaminator wzywał do swego pokoju kilka osób, zadawał pytania, słuchał w milczeniu odpowiedzi, wpisywał notę do indeksu i wypraszał delikwentów, nie informując o ocenie. Osobno oddawał za drzwi indeksy, które czasami po prostu wyrzucał. Dopiero na korytarzu można się było zorientować o wyniku egzaminu. Dużo osób z mego roku oblało ten egzamin. Ja, ku mojemu zdziwieniu, dostałem ocenę bardzo dobry, być może dzięki jakiemuś odniesieniu w mojej odpowiedzi do prehistorii. Do przedmiotów ideologicznych dodać trzeba jeszcze historię filozofii, wykładaną przez prof. Pasenkiewicza, a obejmującą poza marksizmem filozofów starożytnych o materialistycznym nastawieniu, a także Kanta, dlatego że Lenin go doceniał. Przedmiot o nazwie „logika” prowadził prof. Ziemiński, przy współudziale dr. Leszczyńskiego.

Niewątpliwie najważniejszym z przedmiotów było studium wojskowe, dla którego zarezerwowany był cały poniedziałek, a które praktycznie odbywało się w wymiarze 8 godzin, co drugi poniedziałek. Były to wykłady i zajęcia praktyczne w salach Collegium Novum oraz ćwiczenia terenowe na Błoniach lub na Pasterniku. Dochodziło do tego ostre strzelanie na strzelnicy na Woli Justowskiej i całonocne warty z bronią w budynku Collegium Novum. Tematyka zajęć i ich poziom zmieniały się wraz ze zmianą dowódców oraz wykładowców. Pierwszym był płk Cimura, dorzecznym, choć surowy oficer frontowy, który po wojnie walczył przeciw UPA i polskiemu podziemiu. Próbował on ze studentów zrobić prawdziwych żołnierzy, z nader różnym skutkiem. Potem nastał major Pouch, którego nazwiskiem studenci określali stopnie głupoty. Kończyłem studium za płk. Cynkina, który w okresie zamieszania w roku 1954 wybrał karierę polityczną, kandydując do sejmu, jako swego rodzaju liberał, popierany przez studentów i kręgi reformatorskie. Wśród wykładowców wojskowych wyróżniał się inteligencją i zdrowym rozsądkiem kpt. Mikołajewski, który pojawił się też na naszym poligonie wojskowym, gdzie był najbardziej cywilizowanym przedstawicielem naszej kadry oficerskiej. Na zajęcia ze studium wojskowego przychodziliśmy w normalnych ubraniach cywilnych, na które w piwnicy Collegium Novum ubieraliśmy brudne, zabłocone i podarte kombinezony, oddawane wieczorem do magazynu. Kombinezony te były różnych rozmiarów, na mnie na ogół za duże. W rezultacie bywało tak, że w trakcie ćwiczeń za długie spodnie stawały się podeszwami butów.

Jednego dnia, na Błoniach, płk Cimura robił przegląd oddziału. Wywłókł mnie przed szeregi, „opieprzył” po wojskowemu za wygląd i kazał zapisać do raportu. Obok mnie podpadł Janusz Bogdanowski, który miał kombinezon zapięty z przodu kawałkiem drutu aluminiowego, bo wszystkie guziki były urwane. W czasie raportu „opieprzono” mnie ponownie i sprawa się skończyła.

Innym razem oskarżono mnie o przewrót czołgu i potraktowano to jako „sprawę polityczną”. W czasie ćwiczeń na Błoniach pozorowaliśmy natarcie ze wsparciem czołgów. „Czołgi” były to wycięte z dykty sylwetki czołgów, pomalowane na zielono i odrapane. Dwóch delikwentów niosło te dykty z Collegium Novum na Błonia, a potem w natarciu biegło z ową makietą. Po ćwiczeniach zdawało się czołg w magazynie w Collegium Novum, co trwało dość długo, nikt więc nie chciał być ostatnim „nositel” czołgu. Radzono sobie w ten sposób, że opierano dyktę o grupę kolegów, która szybko się rozbiegała, mimo tak wyraźnego zaproszenia do niesienia „czołgu”. Tak było i w moim przypadku. Stałem w grupie, o którą oparto czołg. Grupa natychmiast się rozbiegła, a ja wcale nie byłem ostatni. Czołg upadł na ziemię, a ktoś doniósł do dowództwa, że to ja przewróciłem czołg. Wezwano mnie na śledztwo po zakończeniu zajęć i zdaniu kombinezonów. Wyparłem się celowego działania na szkodę własnej broni pancernej. Zaproponowano mi darowanie wina, jeżeli będę donosił na kolegów. Odmówiłem. Zwolniono mnie, ale obiecano pamiętać o moim niecnym postępku. Bałem się, jak będzie z zaliczeniem ze studium i z egzaminem, ale wszystko poszło bezproblemowo i w rezultacie zaliczyłem na ocenę dobry. Studium wojskowe było tak ważne, że nawet gdy dziekan Bochnak dał mi urlop od wykładów i ćwiczeń, abym mógł jeździć w teren, to nie obejmował on zajęć ze studium, na które musiałem się meldować jak wszyscy. Dziekan stwierdził, że nie ma władzy nad studium.

W latach międzywojennych w literaturze archeologicznej, zwłaszcza niemieckiej, ukazało się kilka niezłych opracowań poświęconych pradziejom poszczególnych powia-

tów. W nawiązaniu do tych prac, najpierw prof. Kostrzewski w Poznaniu, a potem prof. Jamka w Krakowie inspirowali powstawanie archeologicznych monografii poszczególnych powiatów oraz większych miast z terenów polskich. Prof. Jamka, sam zaangażowany w przygotowanie dzieła o pradziejach Krakowa, postanowił doprowadzić do przygotowania i wydania pradziejów powiatu krakowskiego. Miało to być wspólne przedsięwzięcie pracowników katedry, którą kierował, i studentów – członków koła naukowego, które się reaktywowało w początkach lat pięćdziesiątych. Przygotowanie takiego dzieła musiało być poprzedzone kwerendą w literaturze archeologicznej i archiwach, zwłaszcza w Muzeum Archeologicznym w Krakowie, a także przeprowadzeniem systematycznych badań powierzchniowych na całym terenie powiatu. Z dużą ochotą przyłączyłem się do, zapoczątkowanych już przez studentów roku starszego od mojego, prac nad pradziejami powiatu krakowskiego. Przejąłem zwłaszcza organizację badań terenowych. Ze względu na to, że etnografowie prowadzili w tym czasie badania oraz wywiady w okolicach Mnikowa i Zalas, udawało się zachęcić do udziału w naszych poszukiwaniach etnografki z mojego roku, a także pozyskać od etnografów drobne fundusze na opłacenie wycieczek badawczych (koszty przejazdów, diety). Prowadzone od dłuższego czasu prace nad pradziejami powiatu krakowskiego doczekały się szczęśliwego końca i pierwsza część tego dzieła ukazała się w roku 1960 drukiem jako pierwszy tom *Prac Archeologicznych*, upragnionego przez prof. Jamkę organu naszej Katedry.

Ze względu na moje zainteresowanie zagadnieniami kultury łużyckiej otrzymałem jako temat pracy magisterskiej opracowanie stosunków gospodarczych i społecznych ludności kultury łużyckiej w Małopolsce i na Śląsku, głównie na podstawie cmentarzysk. Publikowanych źródeł do tego zagadnienia było mało. Musiałem podjąć poszukiwania niepublikowanych dotąd materiałów. W Krakowie prof. Jamka przekazał mi dane dotyczące jego badań wykopaliskowych na cmentarzysku w Bachórze-Chodorówce. Dr Michał Drewko udostępnił mi swoje notatki odnoszące się do badań cmentarzyska w Sokolnikach koło Tarnobrzega, które prowadził wraz z Leonem Kozłowskim jeszcze przed I wojną światową. Udało mi się też dotrzeć do maszynopisu pracy doktorskiej Jana Bartysa o grupie tarnobrzezkiej. Maszynopis ten udostępnił mi prof. Stefan Nosek. Praca Bartysa przeznaczona była do wydania w wydawnictwach PAU, w podobnej formie jak praca Zdzisława Durczewskiego o grupie górnośląsko-małopolskiej. Egzemplarz, z którego korzystałem, zaginął w latach następnych, podobnie jak przygotowana przez M. Drewkę publikacja cmentarzyska w Sokolnikach, która złożona została do druku w PMA w Warszawie, gdzie ślad po niej zaginął.

Materiały do mej pracy magisterskiej zbierałem także w Warszawie, Bytomiu i Wrocławiu. W muzeach śląskich znajdowały się archiwalia dotyczące badanych przez Niemców cmentarzysk kultury łużyckiej, które nie zostały przez nich opublikowane. Wyjazdy poza Kraków bardzo mi pomogły w późniejszej działalności naukowej.

Pracę magisterską, o czym mało kto wiedział, udało mi się stosunkowo szybko napisać. Wraz z kolegami rozglądałem się nad możliwością podjęcia pracy po ukończeniu studiów, bowiem sytuacja na rynku pracy w dziedzinie archeologii była w owych czasach bardzo zła, zwłaszcza w Krakowie. Zastanawiałem się nawet nad podjęciem nauki na kursie spawaczy, jaki organizowano w budującej się Nowej Hucie. W czasie pobytu we Wrocławiu zetknąłem się z prof. Włodzimierzem Hołubowiczem, z którym przeglądałem materiały odkryte na cmentarzysku w Sobocisku koło Oławy, pochodzące z gro-

bów kultury łużyckiej i kultury lateńskiej. Prof. Hołubowicz wierzył w prasłowiańskość kultury łużyckiej. Także inwentarze z lateńskich grobów traktował jako prasłowiańskie. Tłumaczyłem mu, że szkieletowe groby lateńskie mogą być dowodem na obecność Celtów, a z Prasłowianami i kulturą łużycką nie mają nic wspólnego. Prof. Hołubowicz nie obraził się z powodu moich krytycznych uwag, a wprost przeciwnie, zaproponował mi pracę u siebie, a także zachęcał, abym napisał jakiś artykuł do przygotowywanego przez niego nowego wydawnictwa. Z możliwości podjęcia pracy nie skorzystałem, mimo że Wrocław bardzo polubiłem. Zniechęcała mnie atmosfera polityczna panująca wówczas w otoczeniu prof. Hołubowicza i wśród młodych archeologów we Wrocławiu, tak odmienna od reakcyjnego wtedy Krakowa. Artykuł natomiast napisałem i złożyłem do druku właśnie u niego, co wzbudziło niechęć prof. Jażdżewskiego i dr. Buratyńskiego, gdyż prof. Hołubowicz był źle postrzegany wśród wielu polskich archeologów, którzy zarzucali mu podjęcie współpracy z Litwinami, władzą sowiecką oraz Niemcami w czasie wojny i podejrzewali o bliski kontakt ze Służbą Bezpieczeństwa już po przybyciu do Polski.

W Krakowie prof. Jamka zaproponował mi pracę w naszej Katedrze, na co oczywiście się zgodziłem i z dniem **1 stycznia 1955 roku** zostałem zatrudniony w charakterze zastępcy asystenta – jeszcze jako student, z perspektywą awansu po uzyskaniu magisterium. Do moich zajęć należało prowadzenie biblioteki Katedry, co uprzednio czynił dr Buratyński. Musiałem też podjąć zajęcia dydaktyczne. Bez żadnego przygotowania zlecono mi prowadzenie wykładu kursowego na temat epoki brązu dla studentów ówczesnego II roku, a także zajęć z muzealnictwa archeologicznego i konserwatorstwa dla roku III. Dzięki moim notatkom z wykładów, jakie prowadziłem w czasie studiów, udawało mi się podołać obowiązkowi, jakie na mnie spadły. Prof. Jamka, a także inni pracownicy Katedry nie interesowali się zbytnio, jak sobie radzę z wykładami. Nie kontrolowano moich zajęć. Studenci, z którymi byłem na stopie koleżeńskej, nie utrudniali mi pracy. Jedynie studentki z III roku czasem próbowały mnie rozweselić i jak to się mówi – „zbić z pantaląku”. W czasie zajęć siedzieliśmy przy jednym stole, a one wysyłały mi liściki, cukierki owinięte w papier i czekały na moją reakcję. Nie było mi łatwo, ale radziłem sobie nieźle.

Stopniowo obsada personalna w Katedrze Archeologii Prehistorycznej się ustabilizowała. Po wprowadzeniu zakazu dwuetatowości dr Buratyński przestał pracować na Uniwersytecie i ograniczył się do pracy w Muzeum Archeologicznym, gdzie kierował oddziałem Muzeum w Nowej Hucie. Katedrą kierował prof. Jamka. Adiunktem była pani dr Cabalska, ja utrzymywałem się na stanowisku zastępcy asystenta, potem awansowano mnie na asystenta. O ile mi wiadomo, na moje awanse i zatrudnienie nie zgadzały się czynniki partyjne. W moich aktach po roku 1956 nie znalazłem jednak żadnych informacji na ten temat. Stanowisko aspiranta przy Katedrze otrzymał K. Godłowski, który miał w przepisowym terminie uzyskać stopień kandydata nauk. Także mnie obowiązywało uzyskanie takiego stopnia. K. Godłowski przejął opiekę nad biblioteką i prowadził też jakieś zajęcia ze studentami – ale nie pamiętam, co mu powierzono. Wożnym był nadal pan Maciejczak.

Dalszy pobyt w lokalu przy ul. św. Jana stawał się niemożliwy. Utrudniały go, jak mogły, poczynania władz i służb Polskiej Akademii Nauk, właścicielki budynku. Po wprowadzeniu się Muzeum Archeologicznego do dawnego klasztoru św. Michała z zajmo-

wanych nad nami pomieszczeń na I piętrze budynku przy ul. św. Jana, władze Akademii rozpoczęły remont pomieszczeń po Muzeum. Aby zachęcić nas do wyprowadzki, wybito dziury w suficie, przez które wlewano do nas wodę. Zalaniu uległa biblioteka, co doprowadziło do zniszczenia kilku książek, w których posklejały się ilustracje.

Władze uniwersyteckie ciągle obiecywały nam nowe lokale w budynku Collegium Minus przy ul. Gołębiej lub w budynku przy ul. Świerczewskiego 2 (dawna ul. Pierackiego albo Studencka), ale pomieszczenia te nie były jeszcze zwolnione ani wyremontowane. W tej sytuacji udostępniono nam stosunkowo duży lokal na piętrze prywatnego domu przy placu Sikorskiego (dawnym placu Jabłonowskich). Nie było innego wyjścia i w roku 1967 musieliśmy się tam w trybie pilnym przeprowadzić przy pomocy studentów oraz pracowników. Przeniesiono tam bibliotekę, a pozostałe pomieszczenia przeznaczono na sale wykładowe. Lokal został wstępnie wyremontowany. Podzielono wewnątrz za pomocą arkuszy tektury – preszpanu. Lokal, który nam przydzielono, byłby pięknym mieszkaniem, ale dla nas się nie nadawał z wielu względów. Część naszych zasobów, zwłaszcza zbiory, trafiła do pomieszczeń przy ul. Augustiańskiej, w dawnym klasztorze Augustianów. Dostaliśmy tam kilka małych cel, ciemnych i zimnych. Od biedy nadawały się na magazyny zbiorów. W celach zbudowano drewniane regały, które szybko zostały zapelnione pudłami i garnkami lub sprzętem wykopaliskowym. Część naszych mebli z ul. św. Jana nie mogła się zmieścić w nowych pomieszczeniach. Meble te musiały zostać zlikwidowane, i to zlikwidowane fizycznie. Takie były przepisy i wytyczne naszych władz. Likwidację przeprowadziliśmy we własnym zakresie, za pomocą siekier pochodzących ze sprzętu wykopaliskowego. Pozostałe po tej akcji szczątki protokolarnie przekazano na podpałkę w innych lokalach UJ. Niestety, w ferworze likwidacji uległy zniszczeniu także fragmenty mebli, noszące numery inwentarzowe.

Dodatkowym nabytkiem Katedry na pl. Sikorskiego był pan Roskosz, nasz nowy woźny – niewielkiego wzrostu, bardzo ruchliwy i pobudliwy. Podobno jeszcze przed wojną studiował na UJ, chyba historię, może otarł się o archeologię. Znał z tych czasów prof. Jamkę i praca u nas odpowiadała jego godności. Wykazywał dużą niechęć do kobiet, zwłaszcza dużych, o masywnej budowie. Dawniej pracował w Bibliotece Jagiellońskiej, z której go usunięto po tym, jak gonił jedną z pracownic po korytarzu z nożem w ręku. W dziale kadr UJ też wykazał się agresją wobec jednej z pracownic – chciał ją bodajże udusić. Przydzielono go do nas i tu zapalał niechęcią właśnie do pani dr Cabalskiej. Niechęć była obustronna, ale ekscesy się nie zdarzały; może poza podkładaniem zdechłych myszy do szuflady w biurku pani doktor. Pan Roskosz popadał też w konflikty z innymi osobami. Bywał napastliwy w stosunku do studentów, choć łagodniał, podejmując próbę pożyczania od „panów studentów”, jak się wówczas zwracał, drobnych kwot. Było to zwykle 5 zł, których naiwny lub zaskoczony delikwent nigdy nie otrzymywał z powrotem. Raz Mikołaj Sirakow, nasz bułgarski student, napastliwie zaczepiony przez pana Roskosza, złapał go, podniósł do góry i zagroził, że wyrzuci przez okno. Ta groźba wystarczyła i nie słyszałem, aby później pan Roskosz prowokował awantury oraz podejmował próby pożyczek. Pilnował telefonu, na ogół – niezależnie od sytuacji – meldując, że nikogo nie ma w Katedrze, i nosił pocztę z Uniwersytetu. Do czegoś innego się chyba nie nadawał.

Kolejne zmiany w strukturach szkolnictwa wyższego, wprowadzane przez ministerstwo, zmierzały do tworzenia instytutów jako jednostek samodzielnych, w skład

których miały wchodzić zakłady. Katedry natomiast traciły rację bytu. W Krakowie na UJ istniały już dawniej Instytuty: Historii i Historii Sztuki. Prof. Jamka dążył do utworzenia Instytutu Archeologii, głównie na podstawie dotychczasowej Katedry Archeologii Prehistorycznej (później Archeologii Polski). Tylko utworzenie Instytutu gwarantowało bowiem utrzymanie niezależności i dobrej pozycji, jaką kierunek archeologii już sobie wówczas wypracował na Uniwersytecie. W pierwszej wersji miały w obrębie Instytutu powstać: Zakład Archeologii Polski, obejmujący problematykę epoki brązu (zwłaszcza kultury łużyckiej) oraz średniowiecze (archeologia Słowian i ewentualnie późne średniowiecze), i Zakład Archeologii Powszechnej, który miał obejmować epokę kamienia i okres wpływów rzymskich. Taki projekt zyskał uznanie i poparcie Wydziału Filozoficzno-Historycznego i rektora. Na potrzeby Instytutu obiecano przekazać budynek Collegium Minus, przy ul. Gołębiej, po likwidowanej mineralogii, która się przenosiła na AGH.

Nie było wiadomo, jaki będzie los Katedry Archeologii Śródziemnomorskiej na UJ, gdzie nabór studentów odbywał się nieregularnie, z dużymi przerwami. Zaproponowano włączenie jej jako trzeciego zakładu do Instytutu Archeologii. Propozycja ta spotkała się z niezwykle silnym oporem ze strony pani prof. Marii Luizy Bernhard, kierownika katedry, która rozpoczęła kontrakcję w Krakowie i w Warszawie, mając poparcie prof. Kazimierza Michałowskiego. Na różnych zebraniach głosiła pogląd, że archeologia śródziemnomorska bliższa jest historii sztuki i filologiom antycznym niż archeologii prehistorycznej. Wypowiedzi takie spotykały się z ripostami ze strony archeologów prehistoryków. Prof. Bernhard dążyła do konfliktu, przez co zraziła sobie niektóre władze uniwersyteckie, zwłaszcza prorektora Mieczysława Karasia, który został później rektorem i wyraźnie sprzyjał koncepcji prof. Jamki. Rektora Karasia drażniły wypowiedzi prof. Bernhard, jej maniery, to, że była obywatelką francuską i miała poparcie w Warszawie ze strony prof. Michałowskiego, gdzie próbowała załatwiać swoje sprawy z pominięciem władz uniwersyteckich.

Wreszcie w roku 1971 Instytut Archeologii został powołany i zatwierdzony z Zakładem Archeologii Śródziemnomorskiej i dwoma zakładami archeologii prehistorycznej: Zakładem Archeologii Powszechnej i Archeologii Polski. Dyrektorem Instytutu został mianowany prof. Jamka. Nadal trwała walka o przydział lokalu dla poszczególnych agend nowego Instytutu. W końcu władze przeznaczyły na jego siedzibę obiecany budynek Collegium Minus.

Adaptacja Collegium Minus trwała wiele lat. Według koncepcji prof. Jamki, trzecie piętro budynku miało być zaadaptowane na cele wystawowe Instytutu. Chciano tam eksponować zbiory Instytutu. Wystawa ta miała stanowić pomoc dydaktyczną w procesie kształcenia studentów. Nie doszło do spełnienia tego zamysłu, bowiem konserwator architektury UJ, pan Samek, nakazał stanowczo, aby obniżyć budynek i rozebrać trzecie piętro, które powstało w XIX wieku, budynek miał bowiem powrócić do wyglądu z czasów średniowiecza. Protesty z naszej strony nie pomogły. Decyzja była nie do odwołania. Do tego w sali na drugim piętrze, pod tynkiem, odkryto ślady XIX-wiecznego malowidła, w którym partycypował jakiś mało znany malarz krakowski. Udało się jednak storpedować projekt wyłączenia tej sali z Instytutu i oddania jej Muzeum UJ. Malaturę szybko zatynkowano i wreszcie był spokój. Tuż przed ukończeniem prac adaptacyjnych, po pierwszym odbiorze instalacji w toaletach, wykonawcy

ukradli część armatury. Władze rektorskie nie zezwoliły nam na reklamację, ponieważ oficjalny odbiór został już dokonany, wypłacono nawet nagrody za wykonanie. Całą instalację udało się doprowadzić do porządku dużo później. W gorącym okresie remontu i przepychanek z władzami uniwersyteckimi prof. Jamka był chory i przebywał w szpitalu. Zmarł w roku 1972, i chyba nawet nie odwiedził jako dyrektor ukończonego już budynku Instytutu. Następcą prof. Jamki został Janusz Krzysztof Kozłowski, który pełnił funkcję dyrektora do roku 1976.

W tym czasie prof. Mieczysław Gładysz, ówczesny dziekan Wydziału Historycznego, wystąpił z projektem powołania na UJ podyplomowego studium muzeologicznego, które miało obejmować 4 specjalności: archeologię, etnografię, historię i historię sztuki. Odbływały się specjalne posiedzenia dyskusyjne nad tym studium i jego programem. Brałem w nich udział i na ogół byłem zdania, że studium to nie ma sensu. Powstanie studium zostało jednak zatwierdzone, a rektor Karaś mianował mnie jego kierownikiem i kazał je szybko zorganizować. Jak się okazało, zostałem kierownikiem dlatego, że jako jedyny wypowiadałem się przeciw tej instytucji (tak mnie poinformował rektor Karaś). Dostałem etat dla sekretarki i obiecano mi także lokal. Zatrudniłem na tym stanowisku mgr Barbarę Szybowicz (z domu Bugajską). Lokalu nie dostałem. Rektor Karaś proponował mi, abym na studium zabrał gabinet prof. Bernhard, a on to urzędowo zatwierdzi. Odmówiłem i prowadziłem studium przez 11 lat, korzystając z mojego pomieszczenia w Instytucie. Studium to nieźle funkcjonowało i zyskało sobie duże uznanie wśród wielu muzealników. W ramach studium przeprowadziliśmy nawet habilitację dr. Jerzego Świecimskiego. Organizacja i prowadzenie studium kosztowały mnie jednak wiele czasu i nerwów, gdyż niektórzy wykładowcy, zwłaszcza z historii sztuki, byli mu niechętni. W pracy ze studium bardzo mi pomagali prof. prof. Kalinowski, Mitkowski i Perzanowski, a rektor Karaś także otaczał je opieką – co mnie z kolei ułatwiało prowadzenie studium i różne inne poczynania.